

wiatr północny, to barka ta w przystani najlepiej będzie zabezpieczona. Ale, jeśli burza obróci się od zachodu, to korzystniej byłoby dla niej zatrzymać się na pełnym morzu. Może jednak na pokładzie znajduje się ktoś chory, a nawet umarły!

Tymczasem na pokładzie Duńczyka rozpoczął się żywy ruch. Zwijano żagle, ale robota ta szła tak powoli i wykonywana była z tak wielkim zachodem, że każdy znawca odrazu mógł dostrzedz, iż na statku za mało jest ludzi do obsługi. Przez lunetę zauważyłem krępa postać jakiegoś mężczyzny, który z pomostu kapitana wydawał rozkazy, oraz drugiego, który biegał po pokładzie tu i tam, czasami zaś zatrzymywał się, badając przez lunetę miasteczko i wybrzeże.

Pięciu z moich towarzyszy zepchnęło w morze wielką łódź, której używano zwykle, gdy trzeba było na pokład jakiegoś statku zawieźć pilota. Barka tymczasem zbliżyła się do wybrzeża na odległość mili, a kiedy nasza łódź do niej przybiła, spuszczano właśnie żagle górne pod bocianiem gniazdem. W kilka chwil potem spadła kotwica i okręt zwrócił się pod wiatr.

W naszej małej mieścinie przybycie większego statku należało do wypadków tak wyjątkowych, że wywołało całkiem zrozumiałe podniecenie w moim otoczeniu. Niejeden liczył już na jakiś większy zarobek. Nadzieje te jednak odrazu zawiodły. Po bardzo krótkiej chwili łódź nasza zawróciła i powoli popłynęła ku brzegowi. Zaraz też po tym manewrze poznałem, że na obcym okręcie niema nic do roboty dla naszych sucharów. Kiedy łódź wyciągnięto znowu na piasek, zapytałem jednego z marynarzy o imię obcego statku.

— Nazywa się „Anina” — brzmiała odpowiedź.

— A cóż jej się stało?

— A nic, boją się burzy. Okręt płynie z Cuxhaven i dąży do jakiegoś Porto-Allegro, podobno gdzieś w Brazylii.

— Może Porto-Allegro? — sprostowałem.

— Tak, tak, coś takiego nam powiedziano. Kapitan jest ciężko chory, a pierwszy sternik złamał sobie nogę na wysokości Texelu i musiano go na ląd wysadzić. O ile rozumiałem, prowadzi obecnie okręt stolarz okrętowy, który zarazem jest drugim sternikiem.

— A dlaczego tutaj zawinął?

— Tego nie wiem — odpowiedział — Z gadaniny tego pana Damma, tak zwie się bowiem ów stolarz, nie wiele rozumiałem.

— To ciekawe — zauważyłem — Okręt, który płynie do Porto-Allegro, nie powinien być kierować się w naszą stronę.

.....Zegar na kościele w mieście wybił właśnie piątą. Z pokładu „Aniny” zawtórował mu dzwonek okrętowy. Przypomniało mi to, że matka czeka w domu z podwieczorkiem, zawróciłem więc, a po drodze przyłączył się do mnie jeden z tych, którzy byli pod Duńczykiem i rozmawiali z obcą załogą. Kręcił on bardzo głową nad całą sprawą, wreszcie rzekł:

— Jeśli ten Duńczyk zna się choć trochę na żeglarskim, to powinien — moim zdaniem, panie Tregarthen — jak najprędzej podnieść kotwicę i ruszyć na pełne morze, zanim będzie zapóźno.

— Toście kapitana samego nie widzieli? Przecież na pokładzie, o ile stąd dostrzegłem, dwóch ludzi dowodziło. Przypuszczałem, że jeden z nich to kapitan, a drugi sternik.

— Nie, panie. Kapitana zupełnie nie było na górze. Podobno leży ciężko chory w kajucie. Komendę prowadzi właśnie ów stolarz Damm, a ten drugi, którego pan widziałeś, to jakiś młody chłopak, który nie dowodzi statkiem. Zna on się jednak na wszystkim i umie wszystkiego dojrzeć. Przypuszczam, że to syn kapitana.

— A może — spojrzałem na ciężkie, ołowiane chmury na niebosklenie — burza jakoś się rozejdzie i tym razem ominie nas i „Aninę” nieszczęście.

Mój towarzysz wstrząsnął przecząco głową.

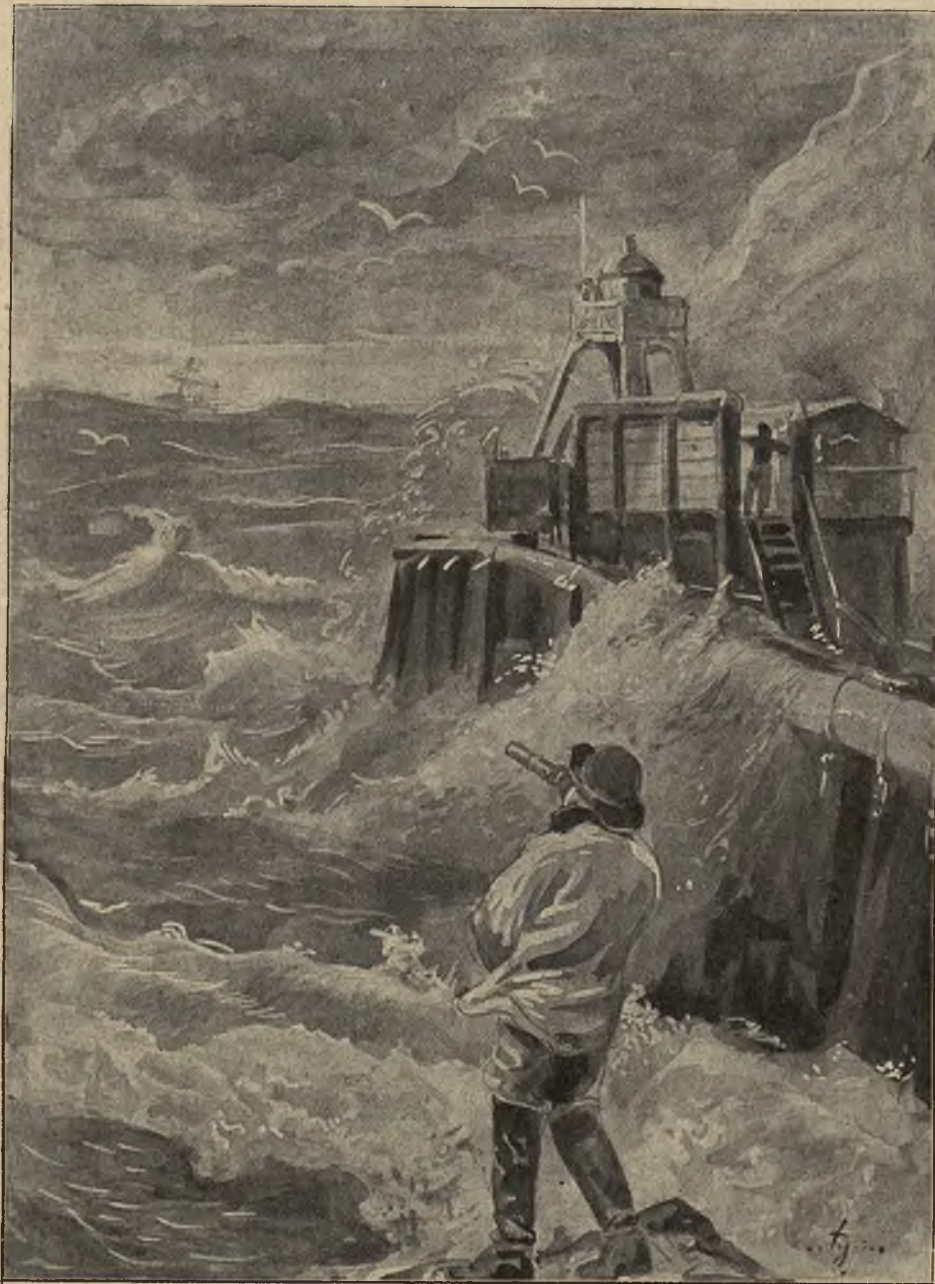
— Barometr nie kłamie, panie Tregarthen, a spada wprawdę powoli, ale ciągle. Przypominam sobie burzę, przed którą morze dwa dni było takie ciche

jak teraz. Właśnie ta zupełna cisza, bez wiatru, jest najgorszą oznaką.

Uklonił mi się i skreślił w boczną uliczkę portową, kierując się ku domowi. W duszy przyznałem mu zupełną rację. Od kilku chwil w powietrzu zapanowała wprost głucha cisza. Nawet ów lekki wietrzyk, który zapędził „Aninę” do naszej przystani, ustał zupełnie. Spokój ten czynił jakieś przejmujące i groźne wrażenie.

Kiedy przyszedłem do domu, zastałem matkę bardzo zaniepokojoną. Ukazanie się obcego statku przeraziło ją więcej jeszcze, niż ranny sen. Opowiedziałem jej więc wszystko, czego dowiedziałem się o „Aninie” i jej załodze, ale wiadomości te, zamiast uspokoić jej obawy, jeszcze bardziej ją rozdrażniły. Narzekała na lekkomyślność Duńczyków, którzy nie chcieli słuchać dobrych rad naszych marynarzy, a gotowi teraz się rozbić i zmusić nas do narażania się, aby ich ratować.

— Co u licha zapędziło ich tutaj między skały? Każdy rozumny żeglarz uciekałby stąd czempredzej —



Okręt, dostrzeżony na widnokręgu, mógł lada chwila zawinąć do zatoki.

rzuciła na zakończenie, nalewając mi drżącymi rękami herbatę.

— Ależ, matko — rzekłem zdziwiony — skądże nagle u ciebie takie rozdrażnienie? Ty, która tak mało zajmujesz się cudzemi sprawami...

— Sama nie wiem, skąd mi się to dziś wzięło — westchnęła. — Takam dzisiaj niespokojna, jakbym przeczuwała, że stanie się jakieś nieszczęście. Słuchajno!

Długi, świszczący ton, wydobywający się z komina, przerwał jej w pół zdania.

— Masz! — słyszysz? — powtórzyła.

— Zaczyna się, matko — rzekłem. — Muszę wyrzucić na pole.

Szybko wybiegłem do sieni i otworzyłem drzwi. Gwałtowny podmuch wichru, idący od morza, wyrwał mi je prawie z ręki, tak, że musiałem całej siły użyć, aby je z powrotem zamknąć. Mimo, iż nie było jeszcze szóstej godziny, na dworze panował już gęsty mrok. Kiedy odstąpiłem okno, aby spojrzeć na morze, zobaczyłem w szybie tylko odbicie własnej twarzy. Za oknem panowały ciemności, nie pozwalające nic dostrzedz. Po chwili dopiero rozróżniłem w zatoce żółty blask latarni przedniej duńskiego okrętu.

— Skąd wiatr dmie? — spytała matka.

— Z południowego zachodu.

Odpowiedź moja utonęła prawie w piekielnym hałasie, jaki nagle rozległ się za oknami. Wicher rozszalał się w całej pełni, wył i gwizdał, chwilami następowały jednak momenty zupełnej ciszy, tak, iż zdawało się, że burza milknie. Po każdej takiej przerwie świst i huk zrywał się no nowo, potęgując się coraz bardziej. Robiło to na mnie wrażenie, że duchy zmarłych marynarzy zwołują się donośnymi sygnałami.

Wnet z wyciem wichru zmieszał się huk fal rozbijających się wściekle o wybrzeże i szum gwałtownego deszczu. Dwa razy dostrzegłem błyskawice.

Matka moja tak się przeraziła, że siedziała, jakby skamieniała, nie odzywając się zupełnie. Raz tylko zerwała się z głośnym okrzykiem, kiedy około ósmej wieczorem, zaczęto się nagle dobijać do naszych drzwi. Pospieszyłem, aby otworzyć i wraz z gwałtownym uderzeniem wiatru wpadł do sieni Mr. Trembath. Aby drzwi z powrotem zamknąć, musiałem z całej siły je podeprzeć, gdyż zdawało się, że wiatr przewróci je razem ze mną.

— Co za czas! Co za czas! — wyrzucił z siebie proboszcz, łapiąc ustami powietrze, kiedy pomagałem mu przy zrzućaniu zupełnie przemoczonego płaszcza.

— Proszę dalej, Mr. Trembath — zapraszałem — zdaje się, że wiatr dał się księdzu dobre we znaki.

— Duchowny nie może się tak samo bać wiatru i burzy, jak marynarz — odrzucił proboszcz. W pokoju przywitał się z matką.

— Chciałem się rozejrzeć trochę po świecie i wyrzucić na morze. Zdaje mi się, panie Tregarthen, że dzisiaj w nocy nie będzie pan mógł spokojnie w domu siedzieć. Czy pan sądzi, że duński okręt potrafi przy tej strasznej burzy utrzymać się na kotwicy?

— Poco on tu wogóle przyjechał? — rzuciła gwałtownie moja matka.

— Mówiłem właśnie przed chwilą z młodym Beckerleyem — opowiadał Mr. Trembath — ludzie coś rozpowiadają o buncie na pokładzie Duńczyka.

— O tem nic nie słyszałem — odparłem zdziwiony.

— Czy był bunt, czy nie — dowodził proboszcz — kapitan w każdym razie nie miał prawa, wystawiać statek na tak wielkie niebezpieczeństwo.

— Ależ, kapitan sam podobno jest ciężko chory — zaprotestowałem.

Mr. Trembath nie zwrócił uwagi na moje słowa, podszedł do okna i chciał wyrzucić na pole. Ciemności na dworze panowały jednak tak wielkie, że taflę szklane okna robiły wrażenie mokrych deseczek hebanowych.

— Tuż za światłkiem okrętu wznoszą się skały — zwrócił się do mnie proboszcz, wracając do stołu. — Jakże łatwo w czasie burzy może kotwica się obłuźnić, albo pęknąć łań-

cuch kotwiczny, a wtedy nieszczęśliwy statek runie wprost na skały. Załoga w ciemności nawet nie będzie o tem wiedziała. Boże, chroń wtedy nieszczęśliwych!

— Sternik Pentreath stoi zapewne na straży? — zapytała matka.

— Ma się rozumieć — przytaknąłem. — Zresztą Duńczycy są równie dobrymi żeglarzami, jak Anglicy i spostrzegą, jeśli ich statek znajdzie się w niebezpieczeństwie. W każdym razie i my musimy być przygotowani, aby każdej chwili pospieszyć im z pomocą.

— I my? — zapytał Mr. Trembath, rzucając przy tem niespokojne spojrzenie na moją matkę. — Czyż pan, Tregarthen, odważyłby się wyruszyć na morze w taką burzliwą noc?

— Jestem przecież dowódcą łodzi ratunkowej — rzuciłem zimno.

Ciąg dalszy nastąpi.